

Nazywam się Andrzej Ramuët. Urodziłem się 29 V 1924 r. w Stańkowie pow. stryjski, w woj. stanisławowskim. Moi rodzice mieli majątek ziemski Stańków pod Stryjem, oprócz tego jeszcze Strychańce w pow. stryjskim oraz majątek leśny Znór w pow. Sambor. Ojciec mój Jerzy Ramuët zmarł w 1927 r. Moja matka Maria z Puzynów wyszła ponownie za mąż za Franciszka Ścibor-Rylskiego.

Przed wojną byłem uczniem gimnazjalnym. Uczyłem się w różnych szkołach. Kiedy wybuchła wojna, znajdowałem się w Stańkowie i tam przeżyłem odwrót polskiej armii. Pod Stryjem były pewne walki polskich oddziałów z powstałą partyzantką, bojówkami ukraińskimi, ale ja tego na własne oczy nie widziałem. Niektóre wsie zostały nawet spalone albo przez wojsko polskie, albo przez te bojówki ukraińskie np. wieś Niezuchów pod Stryjem. Wkroczenie armii radzieckiej było poprzedzone wejściem armii niemieckiej. Do Stryja wkroczyła czołówka armii niemieckiej i przebywała około tygodnia zatrzymując się na rzece Stryj, dlatego, że granicą w pierwszym okresie była rzeka Stryj. Po drugiej stronie rzeki znajdowały się oddziały sowieckie, ale na razie do miasta jeszcze nie wkraczały. Gdy wkroczyli Niemcy, ogołocili bardzo dużo mieszkań, głównie żydowskich. Zabierali wszystko na samochody i wywozili, ale nie było jakiś specjalnych represji na Polakach.

Jeśli chodzi o wkroczenie armii sowieckiej - to był bardzo ponury dzień. Stało się to po 20-tym września. Armię radziecką witała delegacja z kwiatami. Byli to przypuszczalnie Żydzi i ewentualnie jeszcze Ukraińcy. Po wkroczeniu armii radzieckiej właściwie od razu rozpoczęły się aresztowania wśród Polaków. Naturalnie one nie były takie od razu, żeby zaaresztować pół miasta. Zaaresztowano przeważnie według donosów rodziny policjantów, sędziów, w ogóle wyższych urzędników państwowych. Mój ojczym został zaaresztowany w restauracji razem ze swoim przyjacielem Karolem Dulembą, który był rotmistrzem w stanie spoczynku. Mój ojczym razem z nim wybierał się na Węgry, ale widocznie na skutek

jakiegoś donosu znaleźli się w więzieniu. Karol Dulemba został następnie o wiele później, wywieziony na teren półwyspu Kamczatka, obłast' Magadan, do jakiegoś z najgorszych łagrów. i w ogóle ślad po nim zaginął. Kilka razy pisał do mojej matki, bo moja matka znała jego matkę we Lwowie. Natomiast mój ojczym cały czas przebywał w więzieniu w Stryju. Później nawet był proces, tylko że ja dokładnie nie mógłbym powiedzieć jakie były główne zarzuty. W każdym razie zmontowano przeciwko niemu oskarżenie, tak jak to oni robili, że był krwiopijcą, że wykorzystywał robotników rolnych u siebie. Naturalnie znalazło się parę osób, które to potwierdziły, między innymi nasz ogrodnik, Ukrainiec, który potem za czasów już niemieckich był bardzo wielkim nacjonalistą. Ten proces odbył się, o ile sobie przypominam w połowie 1940 r., zapadł wyrok 10 lat z tym, że to było dziwne, że mój ojczym nie został wywieziony. W każdym razie do końca 1940 r. nie został wywieziony, dlatego że niektórzy ludzie, którzy razem z nim siedzieli i zostali zwolnieni przychodzili do nas i przekazywali takie informacje. Myśleliśmy, że w 1941 r. został jednak wywieziony, bo już nie przyjmowali paczek dla niego, ale jak się to później okazało, został w więzieniu.

We wrześniu 1939 r. opuściliśmy majątek Stańków, woleliśmy pojechać do naszych sąsiadów Barańskich do Łukawicz, ponieważ koło nas szosą wycofywało się wojsko polskie. Potem od Barańskich przyjechaliśmy do Stryja. W Stryju było bardzo dużo bogatych Żydów, którzy byli adwokatami i lekarzami. Człowiek, który opiekował się mieszkaniem jednego z adwokatów stryjskich-Żyda, odstąpił nam jego mieszkanie. Było to około 10 pokoi wspaniale urządzone. Ponieważ właściciela mieszkania nie było, ten Żyd, opiekujący się, zaprowadził nas do tego mieszkania, aby ktoś w nim był, żeby Niemcy nic z niego nie wywieźli. Faktycznie Niemcy niczego nie ruszyli, ponieważ widzieli, że tam mieszkaliśmy, mimo że byli w tym mieszkaniu na kwaterze. Natomiast puste mieszkania żydowskie zostały kompletnie ogołoczone.

Po kilku dniach pobytu władzy radzieckiej w Stańkowie, władza radziecka zaczęła dopingować ludzi, żeby poszli i wszystko zabrali ze dworu i oni rzeczywiście rzucili się. Najpierw podobno się tak przyglądali, jak nam nasza służba opowiadała, podchodzili, ale nie wchodzili do środka, no ale w pewnym momencie rzucili się wszyscy i to nawet ci, którzy byli raczej do nas dobrze usposobieni, z tym że oni później twierdzili, że oni chcieli ratować, aczkolwiek na ten temat można byłoby dyskutować. W każdym razie dwór został ze wszystkiego ogołocoony, to, czego nie udało się wywieźć np. dwie szafy biblioteczne i dużo książek, to po prostu było piłą przerywane i dzielone na kawałki, a książki-to dzieci siedziały i pracowicie darły karta po kartce przed dworem. Tak było w Stańkowie, natomiast w Strychańcach, gdzie mieszkała moja babcia, która była wdową, mogła jeszcze tam co najmniej 2 albo 3 tygodnie już za czasów władzy radzieckiej przebywać. Ja nawet tam później pojechałem. Babcia bardzo dobrze gospodarowała i była bardzo sprawiedliwa. Ludzie raczej nie mieli do niej specjalnych pretensji (a w Strychańcach nie było ani jednej polskiej rodziny) tym niemniej po mniej więcej 3 tygodniach musiała się stamtąd wynieść, z tym że pozwolili jej stosunkowo dużo wziąć, tak że miała 2 pokoje urządzone w Stryju tymi meblami, które pozwolili jej zabrać.

Ludzie ze wsi zachowywali się różnie. Ci, którzy przed wojną wydawali się, że są do dziedziców życzliwie nastawieni, to potem się okazywało, że byli oni bardzo krwiożerczo nastawieni. M.in. ktoś podpatrzył, że moja babcia zakopała część srebra w ogródku i oni to wykopali i zabrali. Natomiast ci chłopci, z którymi dwór był w pewnym konflikcie przed wojną, zachowywali się bardzo często o wiele bardziej lojalnie niż tamci i właściwie pomagali mojej babce przez cały czas. Chłopci przychodzili i przynosili różne prowianty, zupełnie bezinteresownie. Moja babka miała służącego Ukraińca, z którym byliśmy dosyć zaprzyjaźnieni i on razem z nią pojechał do Stryja i następnie tam

pracował jako kelner w restauracji, mieszkał z nami i pomagał nam cały czas. Te wszystkie animozje, które wybuchły, wybuchły dopiero później, właściwie po powtórnym wkroczeniu Niemców.

Chodziłem do szkoły, z tym że zostałem, moim zdaniem, cofnięty o rok albo nawet o dwa lata, bo ja przed wojną zdałem już do trzeciej klasy gimnazjalnej, a tam znalazłem się w 8 klasie. To było gimnazjum polskie, ale ciekawe było to, że tam było stosunkowo mało Polaków, bo w mojej klasie było mniej więcej 80 % Żydów, pomimo tego, że w Stryju było również gimnazjum żydowskie. W Stryju było, o ile sobie przypominam, gimnazjum polskie, które zostało jakimś cudem w najlepszym budynku, w którym znajdowało się jeszcze przed wojną, następnie było też gimnazjum żydowskie i gimnazjum ukraińskie. Kadra nauczycielska była przedwojenna, za wyjątkiem takich przedmiotów jak język ukraiński, którego uczył tamtejszy Ukrainiec. Uczyła także Ukrainka ze wschodu. Wprowadzono do nauki obok ukraińskiego jeszcze język rosyjski oraz oddzielnie literaturę rosyjską. Pracował nawet były dyrektor tego gimnazjum, który uczył języka niemieckiego. Były jeden albo dwa wypadki wywózki z kadry nauczycielskiej, ale nazwisk nie pamiętam. Najciekawsze było, że uzyskiwaliśmy na ogół o wiele lepsze stopnie, niż za czasów polskich, w Polsce była jednak o wiele większa dyscyplina i trzeba się było trochę napracować, żeby dostać dobry nie mówiąc o bardzo dobrym. Natomiast tutaj wyglądało to w ten sposób, że było tzw. "soczmahanie" "współzawodnictwo socjalistyczne" i na ścianie były rozwieszane arkusze papieru, gdzie każdy uczeń wypisywał sobie stopień taki, jaki uważał, że powinien osiągnąć w danym okresie. No i bardzo często profesorowie po prostu z tego sobie odpisywali oceny do swoich notesów względnie do dzienników. Czasami mnie pytali profesorowie, jakie ja sobie z danego przedmiotu stopnie postawiłem i po prostu przepisywali do dziennika. I tylko pamiętam, że raz to był jeden wielki strach, dlatego że był egzamin komisyjny ze wszystkich, czy prawie wszystkich przedmiotów, a w komisji był Rosjanin. Wtedy ci, którzy sobie za bardzo niefolgowali trochę się bali, ale jakoś się wylądowało.

Normalne życie w szkole wyglądało w ten sposób, że wielkiej polityki w niej nie było ani z jednej ani z drugiej strony. Owszem klasa musiała być zorganizowana, musiał być tzw. starosta, którym był jeden z kolegów Żydów~~skich~~. Ja nie zaobserwowałem jakiegoś donosicielstwa. Niektórzy wiedzieli, że byłem synem tzw. "pomieszczyka", ale z tego tytułu nie miałem jakiś specjalnych nieprzyjemności. Masówki i spędy były, ale może nawet mniej niż potem w Polsce Ludowej. Na I maja przegnali nas pod trybunami, ale nie było to coś specjalnie uciążliwego co by mi się specjalnie wryło w pamięć.

Przypominam sobie głosowanie, które polegało na tym, że cała ludność prawie w 100 % głosowała za przyłączeniem tej części Polski do Ukrainy. Ja nie brałem w tym udziału, dlatego że byłem za młody. Wszyscy, którzy byli zdrowi i którzy jako tako się poruszali na wszelki wypadek poszli głosować. Natomiast jeżeli ktoś leżał obłożnie chory, to wtedy do niego przed dom zajeżdżał samochód ciężarowy, wychodziło 2 żołnierzy z bagnetami na karabinach i wychodziło kilku cywilów o podejrzanym wyglądzie, przynosili urnę do łóżka, dawali do ręki to, co należało wrzucić i ten delikwent czy delikwentka wrzucała to do urny no i tamci odjeżdżali. Tak że frekwencja była masowa i wszyscy wypowiedzieli się za przyłączeniem tych województw do Ukrainy.

Lokalne władze w Stryju, takie jak przewodniczący "gorsowietu", naczelnik milicji, NKWD to wszystko był element napływowy - Rosjanie nawet nie Ukraińcy. Tak samo w przedsiębiorstwach które powstały na miejsce polskich osoby na kierowniczych stanowiskach, ci najwyżsi - w hierarchii byli to Rosjanie, albo osoby ze wschodu.

Jeżeli chodzi o postawę Żydów, to wolałbym raczej nie mówić. Uważam, że było trochę porządnych Żydów i to zwłaszcza jeżeli chodzi o bogatych Żydów, takich jak lekarze i adwokaci. Ponieważ Stryj był

ośrodkiem wydobywania ropy i gazu ziemnego i tam byli ludzie, którzy byli bardzo bogaci. Ich sprawy załatwiali adwokaci żydowscy. O ile sobie przypominam w Stryju nie było ani jednego polskiego adwokata, a jeśli był to ja o nim nie słyszałem. Oprócz nich byli także lekarze żydowscy, którzy - starsi - przeważnie kończyli jeszcze medycynę w Wiedniu i tam praktykowali na klinikach wiedeńskich jak np. doktor Marcelli Szicer, specjalista od chorób dziecięcych, z którym i ja miałem do czynienia, doktor Lipelt i in. Oni zachowywali się bardzo dobrze. Natomiast najgorsza była szumowina żydowska, stamtąd rekrutowali się donosiciele, którzy wysługiwali się i pracowali w NKWD względnie w milicji.

W latach 1939-1941 przebywałem z moją babcią, która stosunkowo dużo rzeczy przywiozła ze swojego majątku i po prostu żyła z ich sprzedaży, a poza tym pomagali jej ludzie ze wsi. Natomiast moja matka znalazła się w bardzo ciężkiej sytuacji, dlatego że gdzieś 2 miesiące po aresztowaniu mojego ojczyma i jego przyjaciela, ktoś do nas przyszedł i powiedział, że jeśli zapłacimy 45 tys. rubli, co było sumą po prostu astronomiczną, wzięwszy pod uwagę, że pensja wynosiła około 150 rubli, to wówczas oni zostaną uwolnieni. Ponieważ było wiadomo, że w przeciwnym wypadku grozi im co najmniej zesłanie albo śmierć, więc tutaj nie było można oszczędzać, musiało się zdobyć te pieniądze. Matka wyłożyła część pieniędzy, sprzedając prawie wszystko, drugą część tej sumy wyłożyła matka Karola Dulemby ze Iwowa, która była osobą dosyć bogatą. Ten człowiek, który wziął te pieniądze nazywał się Antoni Burger, ale to nie był Żyd, to był Polak. Okazało się, że on brał te pieniądze, bo miał jakoby wszystko omówione z sędzią, NKWD, z kilkoma osobami, które decydowały. Miało to pewne cechy prawdopodobieństwa, a było to po prostu zwykłe oszustwo. Ta sprawa nie została do dzisiejszego dnia załatwiona.

W związku z tym mojej matce powodziło się bardzo źle, tak że nawet

brała bieliznę z restauracji kolejowej do prania i prała ręcznie. Potem ktoś się dowiedział, że matka grała na fortepianie i zaproponował jej chodzenie na próby nowopowstałej amatorskiej orkiestry. Matka chodziła na próby tej orkiestry, dlatego że miała nadzieję i w ogóle wszyscy, którzy brali w tym udział, mieli nadzieję, że ta orkiestra zostanie wkrótce zamieniona na orkiestrę zawodową. Ona faktycznie została zamieniona, ale ktoś doniósł kierownikowi czy dyrygentowi, że matka jest byłą obszarniczką i z wielkim hukiem wyleciała z tej orkiestry.

Zaopatrzenie wyglądało bardzo źle. Zainteresowani byliśmy tylko w zakupach artykułów żywnościowych, innych rzeczy w ogóle się nie kupowało, a raczej sprzedawało się jakąś odzież, dywany - przeważnie na rynku. Cena masła dochodziła do 100-150 rubli za kilogram, ale w 1941 r., gdy bolszewicy się wycofywali, to zaczęli sprzedawać masło z magazynu w 5 kilogramowych paczkach i liczyli sobie za nie po 25 rubli za kilogram - po cenie urzędowej. Największe ogonki były zawsze po cukier. W każdym razie nie można powiedzieć, że był głód, głodu nie było, tylko wszystkie pieniądze, które się miało, szły na żywność.

Gdy już nie chodziłem do szkoły, przez 2 miesiące pracowałem w biurze, które się nazywało "Ukraińska inwentaryzacyjna kantora". Tam robiliśmy inwentaryzację wszystkich budynków w Stryju. Trzeba było każdy budynek zmierzyć i potem narysować dla każdego piętra plan w przekroju poziomym i pionowym. Tam były humorystyczne pensje, to była istna loteria, można było też dużo zarobić. Wiem, że niektórzy zarabiali po 1000 rubli miesięcznie, to było dużo pieniędzy, ale oni zarabiali w ten sposób, że robili rysunki budynków, które w ogóle nie istniały. My musieliśmy najpierw ten budynek zmierzyć i stracić dużo czasu na zmierzenie, a tam byli ludzie, którzy siedzieli w domu i od razu z głowy brali wszystko i rysowali. Ja zarabiałem tam 100 rubli na miesiąc,

albo nawet jeszcze mniej. Dla tych, którzy brali dużo wybuch wojny w 1941 r. to było po prostu ocalenie, dlatego że jakby ktoś poszedł na te ulice, z których oni robili te rysunki, to by stwierdził, że połowa ulicy w ogóle zupełnie nie istnieje.

Mój brat pracował kiedyś przy robieniu drogi pod Stryjem. Kładziono kostkę. Przed wojną położono kostkę na połowie drogi, a na drugą kostka była przywieziona, ale nie położona. Wiem, że mój brat, który tam pracował za miesiąc zarobił coś 20 czy 30 rubli. To była więc loteria, pensja nie była z niczym związana, tym niemniej niektórzy ludzie, którzy mieli możliwość kraść, jakoś tam wiązali koniec z końcem.

W 1940 r. skończyłem 16 lat i musiałem mieć paszport, ale nie miałem metryki, metryka była w parafii, ale ta parafia została zlikwidowana. Paszport wyrabiałem sobie z opóźnieniem w 1941 r. Poszedłem do biura paszportowego, a oni mi kazali jechać do tej wsi, w której się urodziłem. Pojechałem na rowerze do tej wsi, do "silrady"-rady wiejskiej. Jak oni mnie tam zobaczyli, to zgłupieli wszyscy, nie mogli słowa wyksztusić, ja zresztą tak samo. Powiedziałem im w końcu, że mają wystawić mi zaświadczenia, coś w rodzaju metryki (to się odpowiednio nazywało po rosyjsku). Oni mi wystawili, ale napisali na tym że "win je synom buwszoho pomieszczika". Zaniósłem to do biura paszportowego. Gdyby to było w 1940 r. to byłbym na białych niedźwiedziach. Dostałem ~~eezywiście~~ rzeczywiście paszport, ale to był tzw. paszport z paragrafem. Były 2 paragrafy - o pasie granicznym, bo Stryj był bliżej niż 100 km od granicy, ale niezależnie od tego był jakiś drugi o pochodzeniu, o jakiś "elementach". Ja dostałem wtedy paszport z tym "elementem". Moja matka, nie wiem jakim cudem nie została wywieziona, bo przecież ona chodziła do więzienia dowiadywać się, rozmawiała z prokuratorami. Była na liście wywózki, która miała się odbyć w czerwcu 1941 r. Te listy potem były opublikowane w "Gazecie Stryjskiej" czy wywieszono po wkroczeniu Niemców, jako plakat. Zresztą tam było bardzo dużo ludzi.

To było po prostu jakieś niesamowite szczęście.

W czasie wywózek był jak zwykle bałagan. Znam to z wielu opowiadań. Przychodzili do danego mieszkania i wywozili wszystkich, którzy się znajdowali w tym mieszkaniu. Jeżeli ktoś akurat uciekał przed wywózką ze swojego mieszkania i do niego nie przyszli, ale przyszli do tego mieszkania, w którym on się znalazł, u zupełnie obcej rodziny i tam go zastali to został wywieziony. Nie było żadnych dyskusji. Natomiast jeżeli kogoś nie było, np jeżeli o 2 w nocy znalazł się w ubikacji za domem i tam przesiedział, to właściwie specjalnie go nikt nie szukał, nie było za nim jakiś listów gończych.

Chodziliśmy do kościoła regularnie. Kiedyś, gdy przechodziłem przed kościołem i ściągnąłem czapkę zauważył to Rosjnin, szef naszego biura. Nie zadenuncjował nas, ale życie nam jakiś czas utrudniał z tego powodu, ale raczej tak humorystycznie do tego podszedł. Tym szefem był tow. Tereszczenko, który z kolei miał chyba 15-letni wyrok do odsiadki, ale z jakiegoś powodu - czy amnestia go zwolniła czy coś innego, wylądował tam. Strasznie się cieszył, jak wybuchła wojna, dlatego że był święcie przekonany, że to pójdzie wszystko w zapomnienie.

W działalności konspiracyjnej udziału nie brałem, takiej zresztą nie zauważyłem. Owszem pomagało się w ucieczkach, ale to było dosłownie w pierwszych dniach władzy radzieckiej, kiedy to granica węgiersko-radziecka nie była obsadzona. Później, gdy ludzie usiłowali uciekać, Rosjanie przeważnie ich łapali. Nie mieliśmy radia, nie pozwolili nam go zabrać ze sobą, ale wieści i tak się rozchodziły a ludzie to wyolbrzymiali, zawsze na swoją korzyść. Wyobrażaliśmy sobie poza tym, że przecież Europa, Zachód nie zgodzi się na to, zdawało nam się, że wszyscy będą się o nas bili. Natomiast wojna fińska była odpowiednio naświetlona. Podobno we Lwowie były nawet manifestacje pod hasłem "Nie oddamy Lwowa Finom".

Wszyscy się modlili, żeby przyszli Niemcy. Miałem kolegów Żydów,

którzy przechodzili do Generalnej Gubernii. Nie było to masowe zjawisko, ale w mojej klasie był na pewno jeden, który to robił i to wielokrotnie. Ale wtedy tam jeszcze nie było takiej eksterminacji Żydów, jaka była potem. Co było charakterystyczne to to, że jedna wywózka dotyczyła samych Żydów.

Ponieważ wszyscy chcieli, żeby wojna sowiecko-niemiecka wybuchła, to nam się wydawało, że atmosfera jest taka, że narasta napięcie, co być może było zupełnie nieprawdziwe, ponieważ tutaj występowało tzw. chciejstwo z naszej strony. Myśmy sobie komentowali różne rzeczy, że np. biją się jakieś oddziały na granicy węgierskiej odległej ok. 80 km od Stryja. Ja zresztą bardzo często chodziłem pod koszary sowieckie, czy tam się nie zobaczy jakiś symptomów. Tam raz widziałem jakiś samochód pancerny, który wyglądał na nieradziecki, tylko jakiś inny, jakby przywieziony stamtąd. Wydaje mi się, że myśmy nie mieli takich podstaw, jak w Generalnej Guberni, gdzie wszyscy wiedzieli, że będzie w ciągu 2-3 ^e miesięcy wojna, ponieważ nastąpiła tam olbrzymia koncentracja wojsk.

Pewnego razu - mieszkałem wtedy w małym domku, oddalonym od ulicy - obudził mnie o 3 czy 4 ogłuszający huk. Samoloty latały, ja wyszedłem przed dom i zobaczyłem, że wokół latających samolotów rozrywają się pociski, ale nie tak blisko, bo artyleria bolszewicka strzelała strasznie niecelnie. Pociski nie rozrywały się koło danego samolotu, tylko po drugiej stronie nieba w zupełnie innym kierunku. Obok mieszkał Rosjanin, który też wyszedł na dwór, w samych kalesonach i zobaczywszy to powiedział "E, to maniostry" i poszedł spać. Jedyna rzecz, która mnie zdziwiła trochę to to, że w pewnym momencie z pobliskiego drzewa została ucięta gałąź przez jakiś odłamek szrapneli, które się rozrywały koło tych samolotów. Stał tam też krawiec, który mieszkał niedaleko, z którym o tym rozmawialiśmy. Gdy zauważyliśmy spadającą gałąź, doszliśmy do wniosku, że u nich to wszystko możliwe i strzelają

ostrymi nabojami.

Już około godziny 6 zrobił się straszny krzyk, dlatego że przywieźli bardzo dużo rannych do szpitali z lotniska w Stryju, które zostało zbombardowane. Wtedy było już wiadomo, że strzelają jednak ostrymi nabojami i że jest wojna. W gazecie, która się ukazywała w Stryju w tym dniu pisali jeszcze (bo drukowano ją w nocy) że to jest prowokacja zachodnich imperialistów, żeby ich skłócić z Niemcami.

Gdyby się powiedziało napotkanemu NKWDziście o godzinie 8 rano, że jest wojna, to można było wylądować w więzieniu, a potem w tydzień później ze strzałem w tył głowy, dlatego że jeszcze nie było przykazu, że już można mówić, że jest wojna. Natomiast około 9 przemawiał Mołotow przez głośniki na niektórych ulicach. Mołotow powiedział, że jest wojna i już wolno było mówić, że jest wojna. Wtedy, jak wojna wybuchła, od razu pomyśleliśmy, że zostaną nawiązane jakieś stosunki z Polską i że Polacy będą się więcej liczyć. Ale w pierwszym okresie wojny to oni Polaków jeszcze bardziej nienawidzili.

Do Stryja, mimo że leżał stosunkowo blisko granicy Niemcy dotarli dopiero po około 8 dniach. Działała olbrzymia dywersja w wojsku radzieckim. Ludność ukraińska walczyła. Odbywało się to przeważnie w nocy. W dzień całe miasto było zawałone wojskiem, bo to było blisko frontu i było bombardowane przez Niemców-głównie lotnisko i koszary, na miasto spadała jedna albo dwie bomby. Natomiast w nocy była walka na śmierć i życie, na ulicach tłukli się ze sobą straszliwie. Przez całą noc było słychać strzały. Mieszkaliśmy w parterowym domku, więc trzeba było się nawet czasami kłaść na podłodze. Ale nigdy żadnej kuli nie wpadła przez okno. Rano przychodzili z bagnietami nadzianymi na karabiny bojcy rosyjscy i pytali się "czemuś strzelał tutaj ze strychu?"-"Prowadź na strych". Trzeba ich było prowadzić na strych, a oni wszystkie rupiecie przetrząsali, a tam u nas nikogo ani niczego na strychu nie było.

Pewnego razu-to było gdzieś po tygodniu-około godziny 5 rano

pojawił się u nas na podwórzu jakiś dziwny człowiek-zarośnięty, blady o nalanej cerze, który chciał się umyć i ogolić. Poszedł do sąsiadów i się ogolił. Nie wiadomo było skąd on się tu wziął. Ale potem ten Polak powiedział, że uciekł z więzienia. Węzienie, które znajdowało się w centrum Stryja było otoczone kilkunastoma czołgami, mimo że czołgi były potrzebne na froncie. Miały cały czas zapuszczone motory, tak że był przez cały czas straszny huk. Ludzie dziwili się. Ja akurat wtedy czytałem książkę Ossendowskiego pt "Lenin", więc już wiedziałem, że tam nic bez powodu się nie dzieje. Ten człowiek, który zjawił się u nas, po to żeby się ogolić, opowiadał, że tylko z kilku cel więźniowie mogli uciec. Im, gdy zobaczyli, że nie ma wyjścia, udało się rozbić piec i uciec. Wśród służby więziennej było już takie rozprężenie, że się im powiodło. Po ulicach przemykali się jeszcze jacyś poszczególni Rosjanie, ale tak już mało pewnie, raczej w potężnym strachu.

Ludzie krążyli koło tego więzienia, czołgów już naturalnie nie było. W pewnym momencie wpadli na dziedziniec więzienny. Zobaczyłem, że w jamach kloacznych (nie było tam kanalizacji) leżała masa ludzi. Ja naliczyłem kilkadziesiąt osób. Na podwórzu tego więzienia znajdował się budynek- podobno łaźnia i oni właśnie w tej łaźni wszystkich mordowali. To się odbywało w ten sposób, że byli wyczytywani więźniowie, którzy mieli być ewakuowani i oni mieli się zgłosić po chleb do tej łaźni. Rzeczywiście w tych pomieszczeniach był jakiś chleb. Gdy ci więźniowie nachylali się po to, żeby wziąć bochenek, dostawali strzał w tył głowy. Tam było wszystko krwią zlane, łącznie z sufitem. Widziałem to, ale trupy były już usunięte. Potem mówili, że z tego dołu ktoś wyszedł, ale to zawsze tak mówią. Być może, że to była prawda, ale ja tego nie widziałem. W pewnym momencie dał się słyszeć warkot motoru i przejechał jakiś samochód z enkawudzistami z jakiegoś innego miasta. Ci wszyscy ludzie-gdy ktoś krzyknął "biłszewiki"-uciekli, dosłownie w sekundzie to podwórze było zupełnie oczyszczone. Potem ludzie poszli

i przez cały dzień rabowali co się dało w koszarach i gdzie indziej.

Trudno było się doliczyć tych pomordowanych, bo w zasadzie tych trupów było mało a ludzi brakowało. Gdy wkroczyli Niemcy, to okazało się, że były jeszcze wykopane doły na podwórzu. Pewna ilość zakopanych trupów była też podobno w okolicach Stryja. Właśnie w takim zakopanym dole odnaleziono mojego ojczyma. Niemcy podawali, że było tam około 2,5 tysiąca trupów, ale to było niemożliwe, żeby tyle osób było zakopanych. Potem ja to widziałem - było ich strasznie dużo, ale trudno było chodzić i liczyć. Byłem młody, pierwszy raz widziałem nieboszczyka. Trupy były identyfikowane, każdy identyfikowany miał kartkę przyduszoną jakimś ciężarkiem lub kamieniem. Zwłoki były też ściągane z okolic Stryja, ponieważ oni, jak już nie mieli gdzie ich zakopywać, ładowali je na samochody i wywozili do lasu lub wrzucali do stąwu, do wody. Była tam komisja, która wyglądała na międzynarodową, dlatego że byli tam jacyś cywile porządnie ubrani, którzy mieli opaski Czerwonego Krzyża. Mówiono, że jest to komisja ze szwajcarskiego MCK.

Zamordowani zostali wszyscy, którzy siedzieli w więzieniu. Tam nie było jakiegoś klucza partyjnego. Jeżeli chłop ukraiński siedział za kradzież kury w tym dniu w więzieniu, to go zamordowali. Gros tych ludzi, których wszyscy znali byli na wywózkach, a jednak to więzienie było pełne, pękało w szwach.

Przy wykopywaniu zwłok i ich identyfikacji Niemcy zatrudnili też lekarzy żydowskich. Jeden z tych lekarzy przyszedł do mojej matki i powiedział, że prawdopodobnie tam jest jej mąż, który wygrzebany został właśnie z takiego dołu zasypanego wapnem i że trzeba go zidentyfikować. Poszedłem z matką. Wtedy były straszliwe upały i o ile sobie przypominam dostaliśmy maski gazowe. Ja widziałem te zwłoki - były trudne do zidentyfikowania. Podobno to był mój ojczym. Matka zidentyfikowała go. Został pochowany w masowym pogrzebie na cmentarzu w Stryju.

Chciałbym wspomnieć o jeszcze jednej rzeczy:

Władza radziecka miała szczególne zamiłowanie do stawiania pomników swoim przywódcom. W Stryju, który zaliczał się raczej do większych miast była fabryka pomników, które były produkowane prawdopodobnie z gipsu czy betonu. Były one wytłaczane w specjalnych formach i ustawiane na cokole. Co było ciekawe - cokol był drewniany - widocznie chodziło o zaoszczędzenie droższych materiałów. Postać ustawiana na cokole składała się z segmentów, najpierw stały nogi, potem tułów, na samym końcu dopiero głowa. To wszystko było malowane, więc niektóre pomniki były pomalowane na czerwono, a niektóre pomniki, takie, które oni uważali że są lepsze, żeby wyglądały jak brąz, były malowane na kolor złocisty.

Na ulicy 3 Maja był Lenin (jak ta ulica nazywała się za bolszewików nie przypominam sobie). Lenin i Stalin stali na Rynku - ale w pozycji siedzącej. To było właśnie nietypowe, że siedzieli na kanapie - objęci. Na ulicy Mickiewicza był duży pomnik Stalina nadnaturalnej wielkości. Na drugi dzień po wkroczeniu Niemców ludzie mieli największą uciechę jak rozbijali te pomniki. Zarzucali pętle na szyję i to wszystko strącali i rozwalali. To miało bardziej masowy przebieg we Lwowie, gdzie było tych pomników więcej.

Tydzień po wkroczeniu Niemców był dość ciekawy wypadek. Miasto było senne, był upał i w pewnym momencie do miasta wpadł w samej koszuli chłop siedzący na oklep na koniu i zaczął krzyczeć "bilszewiki!". Chodziły pogłoski i ludzie obawiali się że gdzieś są jacyś bolszewicy, którzy mają wkroczyć i rąnąć ludzi. Ja widziałem to na własne oczy, nawet Niemcy się dziwili, że w pewnym momencie ulicą zaczyna biec tłum ludzi uciekający przed bolszewikami. Żaden bolszewik nie pojawił się. Krążyły pogłoski, że 2 tygodnie po wkroczeniu Niemców ludność ukraińska ze wsi miała przyjść i obrabować miasto. Oni się podobno szli do miasta z siekierami, pałkami, co każdy miał pod ręką. Ale nie doszło do tego. Niemcy raczej trzymali tutaj porządek. Za czasów mojego pobytu nie widziałem też jakiegoś odgrywania się Ukraińców na Żydach.

Moja matka po czerwcu 1941 r. poszła do starostwa niemieckiego i powiedziała, że chciałaby przywieźć sobie meble ze Stańkowa. Dostała kartkę, że może pojechać. Wynajęliśmy wtedy wozy i pojechaliśmy do Stańkowa. Chodziliśmy po chałupach, ale to było wszystko w takim stanie, że właściwie tylko 1/5 opłacało się brać. Bo jeżeli jakiś "bidermajer" stał 1,5 roku na wolnym powietrzu. czy w stodole, to nie było w ogóle co brać. Dostaliśmy trochę w żywności od tych chłopów.

Tam coś wisiało w powietrzu. Po drodze zatrzymaliśmy się u księdza ruskiego w innej wsi, który nas zawsze przyjmował śniadaniem, mimo że był on wielkim nacjonalistą. Tylko jak się robiło ciemno - to tak iść po polach, po tych wsiach ukraińskich i mówić po polsku było tak jakos niewyraźnie, ale nikt nam gardła nie poderżnął wtedy.

W 1941 r. nadal się znajdowaliśmy bez żadnych środków do życia. Pewnego razu dostaliśmy kartkę od wuja zaadresowaną do mojego brata w Stryju. Jakim cudem go tam w Stryju znaleźli nie wiem, bo tam nie było żadnej ulicy ani niczego. Wuj, który miał majątek w Poznańskim i przebywał wtedy pod Warszawą prosił, żebyśmy napisali coś się z nami dzieje, dali znak życia. Napisaliśmy do niego i wuj nas wtedy zaprosił. Wyjechaliśmy w październiku 1941 r. i pod Warszawą spędziliśmy resztę okupacji niemieckiej.

Wyjazd negocjacyjny
i rezerwa Sprawa
Gregor Hryszak